

NAPADNIĘCI I ZDRADZENI

Z GRZEGORZEM BĘBNIKIEM, PAWŁEM KOSIŃSKIM
I WITOLDEM WASILEWSKIM ROZMAWIA BARBARA POLAK



B.P. – W siedemdziesiąt lat po niemieckiej i sowieckiej agresji na Polskę we wrześniu 1939 r. w Niemczech i Rosji znajdują się badacze, którzy zgłaszają różne pretensje pod naszym adresem, łącznie z obarczaniem winą za rozpętanie II wojny światowej. Warto po raz kolejny przypomnieć, jak wyglądała sytuacja Polski i Europy w przededniu wojny. Warto także zastanowić się, czy Polska mogła wybrać inne sojusze?



W.W. – Polityka międzynarodowa nigdy nie jest bezalternatywna. Można wyobrazić sobie różne warianty przebiegu wydarzeń będące skutkiem wyborów innych niż te, których się dokonano. Tyle tylko, że snując przypuszczenie na temat dalszego rozwoju wypadków, wkraczamy w sferę historii alternatywnej.

Krytyka i pretensje pod adresem Polski pojawiły się w ostatnich miesiącach, przed zbliżającą się rocznicą wybuchu wojny, i są dziełem tzw. komisji przeciwko fałszowaniu historii na niekorzyść Rosji. Jesteśmy rzekomo odpowiedzialni za wybuch wojny i prowadzenie agresywnej polityki wobec Związku Sowieckiego. Wywołaliśmy wojnę, bo nie przyjęliśmy warunków Adolfa Hitlera. To jest absurdalne postawienie wszystkiego na głowie – oto wini się tego, kto nie uległ dążącemu do rozpękania wojny. Nawiasem mówiąc, gdyby wszyscy ulegali Hitlerowi, to może rzeczywiście jego podbój miałby mniej krwawy charakter, tyle że w efekcie mielibyśmy hitlerowską Europę. Ten zarzut spokojnie można odrzucić. Kilka dni temu pojawił się drugi – Polska wraz z Niemcami szykowała uderzenie na Związek Sowiecki, chcąc wciągnąć do tego porozumienia Japonię. Teoretycznie taka konstrukcja mogłaby zaistnieć, ale wybór Polski był odwrotny – odrzuciła taką możliwość. W latach trzydziestych funkcjonował pakt antykominternowski i tzw. oś – w Europie opierająca się na sojuszu Niemiec z Włochami, a w skali globalnej także z Japonią. Hitler pod koniec lat trzydziestych rozważał wariant wciągnięcia do tego paktu Polski. Przystąpienie do niego wiązałoby się z naszymi ustępstwami na rzecz Hitlera, który bądź uderzyłby w kierunku zachodnim (mając zabezpieczone tyły), bądź wspólnie z Polską – na Związek Sowiecki. Niewykluczone, że włączyłby się do tego japoński sprzymierzeniec. Wybór Polski był zupełnie odwrotny – przeciwstawienie się Hitlerowi. Związek Sowiecki wybrał wariant polityki porozumienia się z Hitlerem przeciw reszcie Europy, a przede wszystkim przeciw Europie Środkowej i Polsce. Zrobił to, z czego dziś Rosja czyni zarzut.

B.P. – Ale przy okazji wariantu wystąpienia państw osi przeciw Związkowi Sowieckiemu pojawia się pytanie o cele hitlerowskiej ekspansji. Gdyby Polska przystąpiła do osi, trudno byłoby jej kosztem realizować zwiększenie „przestrzeni życiowej”, co przecież było celem ideologicznym w 1939 r. Do realizacji jakich celów dążyły Niemcy, przygotowując się do wszczęcia wojny? Czy nie było w nich sprzeczności?

P.K. – Przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego Niemcy dążyły do rewizji postanowień traktatu wersalskiego. Zarówno naród, jak i rządy niemieckie (demokratyczne i hitlerowskie) uważały, że był on niesprawiedliwy i wymuszony. Szczególnie poważne kontrowersje

wzbudzały cesje terytorialne na rzecz Polski. Chodziło tu o część Pomorza Gdańskiego, Wielkopolskę, skrawki Dolnego Śląska i Prus Wschodnich oraz część Górnego Śląska (przyznaną Polsce decyzją Rady Ambasadorów po powstaniach śląskich). Szczególnie trudno było pogodzić się Niemcom z utworzeniem Wolnego Miasta Gdańska. Dobitym potwierdzeniem rewizjonistycznych dążeń Niemiec były postanowienia traktatu z Locarno, zawartego w grudniu 1925 r. Niemcy zagwarantowały tam nienaruszalność swojej zachodniej granicy. O granicach wschodnich nie było żadnej wzmianki. Niemcy zgodzili się jedynie na podpisanie układów arbitrażowych z Polską i Czechosłowacją, ale te dokumenty nawet nie zostały wymienione w głównym tekście tzw. paktu reńskiego. Był to wyraźny sygnał dany nie tylko przez Niemcy, ale i Francję, Wielką Brytanię oraz Włochy, już w sześć lat po zawarciu traktatu wersalskiego, że wschodnie granice Rzeszy Niemieckiej są naruszalne.



W.W. – Ale w 1934 r., już po dojściu Hitlera do władzy, został zawarty pakt o nieagresji między Polską i Niemcami, który faktycznie oznaczał wzajemne uznanie integralności terytorialnej. Co prawda w 1939 r. Hitler wysunął żądania dotyczące Wolnego Miasta Gdańska i eksterytorialnego korytarza, ale bez rewizji granicy w Wielkopolsce.

P.K. – Oficjalnie porozumienie to nazywało się deklaracją o niestosowaniu przemocy. Zanim do niego doszło, z polskiej inicjatywy pojawił się pomysł wszczęcia wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom.

B.P. – Kto był autorem tego pomysłu i jakie były jego losy?

G.B. – To dość skomplikowana sprawa. Polska przeprowadziła w tej kwestii sondaż dyplomatyczny, głównie w Paryżu. Okazało się, że ze strony francuskiej nie było żadnego zainteresowania i odzewu, więc ten zaledwie zarys pomysłu zarzucono w fazie przedprojektowej. Niemniej obrazuje to pewną gotowość. Tę dość tajemniczą sprawę znamy jedynie na poziomie pewnych enuncjacji dyplomatycznych, nie mamy żadnego dokumentu. Polska mogła rzeczywiście wyjść z takim projektem choćby tylko dla sprawdzenia gotowości sojusznika, czyli Francji, do działań przeciw niepokojącym posunięciom Hitlera.



P.K. – To, że Polska zdecydowała się na podpisanie deklaracji z Niemcami, było m.in. wynikiem właśnie tego sondażu dyplomatycznego. Okazało się, że nasz główny partner i sojusznik na Zachodzie w bardzo ograniczonym stopniu jest zainteresowany losem Polski. Dlatego w Warszawie zdecydowano się skorzystać z oferty rządu kierowanego przez kanclerza Hitlera i zawrzeć porozumienie, które miało otworzyć nowy okres w dwustronnych stosunkach politycznych.

G.B. – Gdy śledzi się publikacje powstałe tuż po roku 1934, widać, że pojawia się w nich nowy ton – otwarcia w stosunkach wzajemnych. Oto udało się zrobić coś, co nie było możliwe przez wszystkie lata Republiki Weimarskiej – porozumieć się z Niemcami. Były to oczywiście już Niemcy Hitlera, który tworzył totalitarne państwo. Najciekawsze w tych analizach jest to, że Hitlerowi przypisuje się cechy myślenia południowoniemieckiego, austriackiego, katolickiego, w odróżnieniu od dotychczasowego tradycyjnego pruskiego myślenia spod znaku Drang nach Osten.

P.K. – Hitlerowskie pomysły na zorganizowanie mapy politycznej Europy Środkowej i Wschodniej są trudne do prześledzenia i opisanie. Hitler w swoich enuncjacjach nie wyrażał się precyzyjnie. Po nawiązaniu lepszych kontaktów Rzeszy Niemieckiej z Rzeczpospolitą Polską wydawało się niemożliwe forsowanie zmian terytorialnych na pograniczu polsko-niemieckim.



G.B. – W ówczesnej propagandzie skutecznie zostały wyciszone akcenty antypolskie.

B.P. – Jak ocenić zatem sprawę korytarza i Wolnego Miasta Gdańska?

P.K. – Wolne Miasto Gdańsk pozostawało pod zwierzchnictwem Ligi Narodów. Nie należało ani do Polski, ani do Niemiec. Rzeczpospolita cieszyła się szerokimi uprawnieniami w Wolnym Mieście. Rząd polski prowadził sprawy zagraniczne Gdańska i chronił interesy jego obywateli. Terytorium Wolnego Miasta zostało włączone do polskiego obszaru celnego. Poza tym Rzeczpospolita uzyskała szczególne prawa do korzystania z portu. Ludność Gdańska w przytłaczającej większości była etnicznie niemiecka, to był rząd ok. 90 proc. Od jesieni 1938 r. niemieccy przywódcy występowali z ofertą kompleksowego uregulowania dwustronnych stosunków z Polską. Wśród szczegółowych żądań pojawiła się sprawa włączenia Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy oraz ułatwień dla niemieckiego tranzytu pomiędzy Pomorzem Zachodnim i Prusami Wschodnimi. Jednak najbardziej niepokojąca dla rządu

polskiego była propozycja przystąpienia do paktu antykominternowskiego. Na przelomie 1938 i 1939 r. Niemcom bardzo zależało na definitywnym wciągnięciu Polski do swojej strefy wpływów. Polskie kierownictwo postępowało nadzwyczaj rozważnie, ale wzięwszy za dobrą monetę deklaracje brytyjskie, zdecydowało się podjąć rękawicę rzuconą przez Hitlera. W tych kalkulacjach był tylko jeden pewnik – prędzej czy później wojna musiała wybuchnąć...

W.W. – ...ale tu wchodzimy

w niebezpieczny wątek historii alternatywnej. A jakie były dążenia Hitlera? On nie miał konkretnego planu realizowania różnych pomysłów politycznych. Jego działania były zbiegiem okoliczności politycznych, możliwości, które się pojawiały, i również decyzji, które podejmowano w innych stolicach.

G.B. – Wątek ideologiczny wcale nie był dominujący.

W.W. – Hitler zmieniał swoją ocenę narodów. Nie ma wątpliwości, że miał fiksję antyżydowską. Poza tym jednak dostosowywał swoją ideologię do okoliczności politycznych i odwrotnie. Włosi i Węgrzy stali się sprzymierzeńcem i awansowali w jego rankingu, bo zmieniła się polityka. To, do czego dążył niezmiennie, to rewizja traktatu wersalskiego – i to zarówno w kwestii zmiany granic z sąsiadami, jak również odrzucenia ograniczeń nałożonych na niemiecką armię lądową i zbrojenia morskie. Złamanie traktatu stanowiło cel główny Hitlera. Stałym jego dążeniem było również zapewnienie przestrzeni życiowej Niemcom na Wschodzie, *Lebensraum*. Ono mogło być realizowane przez zniesienie Polski i postępowanie dalej na wschód, ale można też sobie wyobrazić dokonanie tego niejako wspólnie z nią, gdyby poszła na kompromis z Niemcami, po obaleniu ZSRS. W takim wariancie byłibyśmy stabszym partnerem Niemiec. Polska jednak odmówiła.

B.P. – Chodziło więc o terytorium, a nie o konkretne ziemie?



Fot. AIPN

Usuwanie polskich skrzynek pocztowych na terenie Gdańska przez członków SA

P.K. – To, co Niemcy próbowali realizować w czasie II wojny światowej, czyli przesiedlenia ludności i stworzenie zwartych przestrzeni osadniczych, nie musiało być jedynym scenariuszem rozwoju wypadków, zarówno w odniesieniu do konkretnych terytoriów, jak i sposobu ich wykorzystania jako „niemieckiej przestrzeni życiowej”.

W.W. – Kolejnym elementem stałym polityki III Rzeszy, aż do paktu Ribbentrop-Mołotow, było występowanie przeciw komunizmowi, czyli tworzenie paktu antykominternowskiego. W roku 1939, po odmowie przyjęcia niemieckich warunków przez Polskę, Hitler dokonał zwrotu politycznego. Logika jego postępowania uległa zachwianiu. Choć wcześniej nie była ona przyjazna dla nas i opierała się na wymuszeniu cesji politycznych kosztem Polski – podobnie jak wymuszono remilitaryzację Nadrenii, *anschluss* Austrii czy rozbięcie Czechosłowacji. Ale głównym wrogiem był wówczas Związek Sowiecki. Ostre i bezkompromisowe stanowisko Polski wobec Hitlera sprawiło, że dokonał on zwrotu myślowego i dyplomatycznego. Można powiedzieć, że wykazał przy tym pełną elastyczność, podobnie jak jego partnerzy w Moskwie. Wspólnie zawiązali sojusz kosztem Polski.

P.K. – Nie należy zapominać, że hitlerowski projekt rewizji traktatu wersalskiego miał być rozwiązaniem globalnym. Jego istotnym wątkiem było przywrócenie Niemcom kolonii.

G.B. – W Europie w latach 1933–1939 odbył się ciąg szybkich przekształceń terytorialno-politycznych, których Stary Kontynent od dłuższego czasu nie widział. Ówczesne społeczeństwa i rządy były znakiem czasów. Przyjrzyjmy się tamtej Europie. Na dobrą sprawę demokracja parlamentarna istniała w Wielkiej Brytanii, w jakiś sposób w Skandynawii i Czechosłowacji, chlubiącej się swoim ustrojem demokratycznym. Jeśli chodzi o pozostałe państwa, to generalnie mamy do czynienia z bardziej lub mniej zaawansowanym systemem autorytarnym. Nawet we Francji istniały liczące się siły i bardzo znaczące ugrupowania, którym republika francuska bardzo się nie podobała, czego skutkiem były wydarzenia roku 1940. Europa Środkowo-Wschodnia z lokalnymi dyktatorami i autokratami stanowiła prawdziwe *panopticum*. Kolejne posunięcia Hitlera nie były czymś, co ówcześni politycy wykluczali całkowicie z zasobu środków w realizacji swoich zamierzeń.

B.P. – **Był politykiem „trendy”?**

G.B. – Oczywiście. Prekursorem były już od 1922 r. Włochy, po dojściu do władzy Benito Mussoliniego, na którym – w pewnym sensie – Hitler się wzorował.

W.W. – W chwili wybuchu wojny demokracja parlamentarna właściwie nigdzie nie działała. We Francji w 1940 r., choć pod naciskiem okoliczności zewnętrznych, odbyła się samolikwidacja demokracji w warunkach suwerennego jeszcze funkcjonowania parlamentu. Podobnie było na Litwie, w Rumunii czy na Węgrzech. A z drugiej strony cały czas funkcjonowała Liga Narodów.

B.P. – **Czy miała ona jakieś rzeczywiste polityczne znaczenie? Przecież przez całe dwudziestolecie międzywojenne żadna jej interwencja nie była skuteczna.**

P.K. – Już u zarania Ligi Narodów o jej słabości zdecydowało to, że nie przystąpiły do niej Stany Zjednoczone, co było decyzją Kongresu, sprzeciwiającego się dążeniom prezydenta Wilsona. Poza tym sprzeczności interesów mocarstw europejskich sprawiły, że Liga była raczej narzędziem służącym utrzymaniu światowej hegemonii Wielkiej Brytanii i Francji. Nadrzędność interesów partykularnych sprawiła, że organizacja powołana do obrony pokoju nie była w stanie skutecznie przeciwstawić się agresji Japonii wobec Chin, Włoch wobec Etiopii, czy Niemiec i Związku Sowieckiego wobec Polski. Po wybuchu II wojny światowej jej rola zmalała właściwie do zera, chociaż Liga Narodów formalnie istniała do 1946 r.

B.P. – O nieuchronności wybuchu II wojny światowej przesądziła ogólnoeuropejska frustracja po Wersalu?

G.B. – Tak. Gdyby to była tylko frustracja ze strony Niemiec, to, być może, udałoby się jej uniknąć. Sfrustrowanych było jednak wielu. Hitler bardzo zręcznie wykorzystał nastroje niezadowolonych zarówno we Włoszech, jak i w Europie Środkowo-Wschodniej, rozgrywając jeden kraj przeciw drugiemu. W końcu spowodował, że większość weszła do jego obozu.

W.W. – Zwykle jest tak, że po dużym konflikcie przegrani dążą do rewanżu, odegrania się. Ale to nie znaczy, że nie istnieje możliwość stworzenia mechanizmów, które by blokowały te zapędy. To rola zwycięzców. Przegrani z zasady jest w mniejszym czy w większym stopniu osłabiony, chociaż żądza rewanżu pozwala nadrobić ten *handicap*. Zabrakło systemu, który by powstrzymywał niemieckie dążenia do złamania Wersalu. Liga Narodów była paktem zbiorowego bezpieczeństwa, a nie paktem obronnym kogoś przeciwko komuś. Pakt zbiorowego bezpieczeństwa działa w momencie, gdy jego członkowie, a w każdym razie najważniejsze podmioty, są gotowi respektować wzajemne gwarancje. Istotą takiego porozumienia jest to, że wspólnie będziemy rozwiązywać wszystkie spory na drodze pokojowej. Jak wiemy, nic takiego nie miało miejsca, bo kluczowe państwa w Europie dążyły do rewanżu. Zabrakło paktu obronnego. Anglia tuż po I wojnie jako konkurenta traktowała bardziej Francję niż Niemcy. W Europie Środkowej nie było jednolitego frontu.

B.P. – Jak wyglądała sowiecka dyplomacja w tamtym czasie? Jaki był sowiecki ogląd sytuacji w Europie? I jakie były ich plany? Wiadomo skądinąd, że gdyby Niemcy nie rozpętały wojny, rozpętałyby ją Sowiety.

W.W. – W okresie międzywojennym ZSRS prowadził politykę agresywną, dążącą do rozszerzenia rewolucji komunistycznej na skalę światową. Polityka tego państwa była bardzo silnie warunkowana przez ideologię komunistyczną.

B.P. – Ale dyplomacja chyba nie jest aż tak toporna jak ideologia.

W.W. – Polityka sowiecka była realizowana dwutorowo – przez Międzynarodówkę Komunistyczną, a po jej rozwiązaniu przez poszczególne partie komunistyczne i przez Biuro Polityczne Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików, w którym kluczową rolę pełnili w interesującym nas okresie Władimir Iłiń i Józef Stalin. Niewątpliwie dążyli oni do wywołania konfliktu w Europie. Przykładem jest Hiszpania, gdzie bardzo czytelne było dążenie do doprowadzenia starcia państw bloku faszystowskiego i „zgniłej” demokracji zachodniej. Rola Związku Sowieckiego jako podżegacza wojennego jest oczywista, niemniej tak zuchwałych posunięć, na jakie pozwolił sobie Hitler w latach trzydziestych, Stalin nie zaryzykował. Był znacznie ostrożniejszym politykiem. Gdyby w Berlinie nie pojawił się Hitler, to czy i w jakim zakresie Stalin byłby zdolny podpalić Europę? To kolejne pytanie z dziedziny historii alternatywnej. Niewątpliwie on dążył do zmian poprzez komunistowanie poszczególnych krajów jak i przez odbudowę terytorialnych wpływów państwa sowieckiego w odniesieniu do granic imperium rosyjskiego, choć ich realizację dostosowywał do okoliczności.

G.B. – Stosunkowo niedawno Bogdan Musiał dotarł do dokumentów sowieckich związanych z moskiewską percepcją przewrotu majowego w Polsce. Okazało się, że był postrzegany tam jako pierwszy krok do rewolucji bolszewickiej. Późniejsze uspokojenia nastrojów w Polsce i opowiedzenie się społeczeństwa za Józefem Piłsudskim były dla Moskwy dużym rozczarowaniem i sprawiły, że na pewien czas odsunięto wizję rewolucji światowej.

B.P. – Jak w Polsce oceniano zagrożenie wybuchem nowej wojny i jak ją sobie wyobrażano?

G.B. – Świadomość tego zagrożenia towarzyszyła polskim elitom przez całe dwudziestolecie międzywojenne. Po zawarciu paktów o nieagresji z Niemcami i Związkiem Sowieckim w 1932 r. Piłsudski powiedział, że siedzimy na dwóch stołkach, a tak długo usiedzieć się nie da. Zobaczmy, z którego wcześniej spadniemy. Po śmierci Piłsudskiego, kiedy ster polityki zagranicznej objął Józef Beck, to nawet dla zwykłego obserwatora było jasne, że do konfrontacji dojść musi, chociażby z powodu tego kursu, jaki nowy minister przyjął – na wierność dotychczasowym traktatom sojuszniczym, a jednocześnie zdecydowanie antyniemiecki. Pole manewru do jakichś porozumień z Niemcami było bardzo niewielkie. W maju 1939 r. w swoim przemówieniu zdecydowanie odrzucił niemieckie propozycje z października poprzedniego roku: przystąpienia Polski do paktu antykominternowskiego, włączenia Wolnego Miasta Gdańska do Niemiec oraz eksterytorialnej autostrady. Ta ostatnia kwestia to był zresztą, jak twierdzi Jerzy Łojek, polski pomysł z końca lat dwudziestych, mający rozwiązać trudności komunikacyjne Rzeszy z Prusami Wschodnimi. Beck uważał się za ucznia Piłsudskiego, którym bez wątplenia był, gdyż Marszałek uważał go za jednego ze swych zdolniejszych wychowanków na niwie politycznej. Piłsudski nie był jakimś wybitnym teoretykiem polityki, ale zostawił kilka bardzo konkretnych wytycznych swoim epigonom. Jedną z nich było to, że gdy dojdzie do wojny (a dojść musi), trzeba zrobić wszystko, by Polska nie była pierwszym krajem, który do niej przystąpi, by włączyła się, gdy będą w nią zaangażowane główne siły europejskie. Po drugie, by wojna, broń Boże, nie toczyła się na terenie Polski. Miała się przenieść gdzieś indziej, najlepiej oczywiście byłoby, gdyby toczyła się na zachodzie. Ani pierwsze, ani drugie założenie nie zostało przez Becka dopilnowane.

B.P. – Bardziej liczono się jednak z wojną polsko-sowiecką.

G.B. – Do niej przygotowywała się armia polska. Nasza flota, która absolutnie nie mogła sprostać Krigsmarine, nawet tym wydzielonym siłom operującym na Bałtyku, doskonale mogła się sprawdzić w działaniach przeciwko czerwonej flocie bałtyckiej...

PK. – ...ale dopiero po złamaniu przez Hitlera ustaleń wersalskich.

W.W. – Przygotowano dwa plany militarne: plan „Z” – zachód i „W” – wschód. Były konstruowane w wariancie, że wojnę toczy się z jednym z dwóch naszych przeciwników. Piłsudski miał powiedzieć, że nie ma mowy o „W” plus „Z”, bo wtedy możemy co najwyżej zginąć z honorem na pl. Saskim.

B.P. – Co Polska wiedziała o porozumieniu niemiecko-sowieckim z lata 1939 r.?

W.W. – Nie da się powiedzieć, że polityka niemiecka z nieuchronną koniecznością zmierzała do porozumienia z Sowiecami i rozbioru Polski oraz podziału Europy Środkowej na strefy wpływów, ale w świetle ogólnego rozwoju wydarzeń politycznych można było przewidzieć taki wariant. Tym bardziej że niezależnie nawet od totalitarnych zmian w Niemczech i Związku Sowieckim istniała przecież pewna ciągłość we współpracy niemiecko-sowieckiej z początku lat dwudziestych, którą później faktycznie polityka hitlerowska zerwała. A w ogóle sama myśl o współpracy niemiecko-rosyjskiej, jeśli sobie przypomnimy XIX w., nie jest niczym egzotycznym, więc taki wariant ówczesni politycy powinni mieć gdzieś w tyle głowy. A jednak w 1939 r. nie wiedzieliśmy, choćby na poziomie rozpoznania wywiadowczego, że doszło do tak zaawansowanego porozumienia. Także w planie politycznym nie dopuszczano, że może dojść do zmywy politycznej Berlina i Moskwy. Beck podejmował swoje decyzje przy założeniu braku ścisłego sojuszu niemiecko-sowieckiego, bo przecież pakt wraz z tajnym protokołem to był ścisły (choć krótkotrwały) sojusz, niezależnie od tego, jak teraz próbuje to interpretować Moskwa. Naszym celem tutaj nie

jest obrona czy krytyka Becka, wiele batalii wokół tej postaci już stoczono, ale trzeba powiedzieć, że przy założeniu braku porozumienia Berlina z Moskwą, jego polityka jawi się znacznie racjonalniej.

Nawiasem mówiąc – przy tych ciosach militarnych, jakie otrzymaliśmy we wrześniu ze strony Niemców, gdyby Związek Sowiecki zachował się biernie, nasze dalsze perspektywy polityczne wyglądałyby jednak dużo lepiej. Gwarancje brytyjskie i francuskie okazały się zawodne: oba państwa weszły do gry politycznie, bo wypowiedziały wojnę, ale militarnie zostawiły nas samych. Związek Sowiecki nie trzymał się z boku. Zadał cios w plecy. Próbuje się dziś przydawać polityce Becka historycznego uzasadnienia – że nie weszliśmy sami do wojny, że przyczyniliśmy się do rozniecenia pożogi wojennej, która w konsekwencji zmiotła Niemcy hitlerowskie. Ale faktycznie okazaliśmy się jednym z przegranych tej wojny.

B.P. – Przyjrzyjmy się latu 1939 r. Czy wszyscy już trzymają szable w dłoniach? W atmosferze zbliżającej się wojny stawia się zarzuty o zbyt późnej mobilizacji, o niepięknej w tej kwestii roli Brytyjczyków itd.

G.B. – Ówczesne postępowanie polskich władz jest zdominowane przez świadomość, że do wojny dojdzie, więc należy tak pokierować wypadkami, żebyśmy nie zostali samotnie na polu bitwy. To była podstawa do przyjęcia polskiego planu operacyjnego. Jeśli spojrzymy na rozmieszczenie polskich jednostek, które zaczęły przemieszczać się w wyznaczone im rejony, to nawet laik w dziedzinie wojskowości dostrzeże, że ich rozmieszczenie jest fatalne – na bardzo długiej polsko-niemieckiej granicy rozmieszczone są kordonem. Przerwanie frontu w dowolnym miejscu skutkuje

możliwością okrążenia i zniszczenia znaczącej części obrony.

B.P. – Jaki był zamysł leżący u podstaw tego manewru operacyjnego?

G.B. – Taki, żeby była możliwość wycofania tych jednostek na linię przeszkód terytorialnych. W Polsce środkowej i północnej w grę wchodzi jedynie rzeki: Wisła, Narew, Dunajec, Nida itd., w dalszej perspektywie na południu także San. Gdyby od razu tam obsadzić te jednostki, to bez walki mogłyby zostać oddane te rejony kraju, do których ewentualnie Hitler rościł pretensje. Jeśli wycofamy się na linię tych przeszkód terytorialnych, to oszczędzimy na pewno mnóstwo krwi żołnierskiej, ale co będzie, jeśli Hitler dojdzie do tych rzek, czyli do głównej linii obronnej, zatrzyma swoje wojska i oświadczy, że ma wszystko, czego chciał, i więcej nie potrzebuje? Czy w tym momencie będą chcieli wystąpić po naszej stronie nasi sojusznicy, czy też będziemy mieli do czynienia z jakimś drugim Monachium?

Faktycznie byliśmy skazani na klęskę. Zwyciężyć lub zremisować można było tylko pod warunkiem dotrzymania bez jakichkolwiek uwag i warunków dodatkowych zobowiązań sojusznicych.



Płonąca polska miejscowość po zbombardowaniu przez lotnictwo niemieckie

Fot. AIPN

B.P. – Nie zostały dotrzymane.

G.B. – Jeśli chodzi o założenia mobilizacyjne – pierwsza mobilizacja, tajna, tzw. kartkowa (czyli dostarczanie wezwań przez listonoszy bądź kurierów), odbyła się na wiosnę i na początku lata 1939 r. Stany liczebne pierwszorzutowych jednostek zostały podniesione na stopę wojenną już w połowie 1939 r., w sierpniu były uzupełnienia. Mobilizacja powszechna, ta plakatoва, czyli przez rozmieszczenie wezwań na murach, miała się odbyć 29 sierpnia. Pod naciskiem naszych nieocenionych sojuszników została zawieszona na jeden dzień. Ich czynniki dyplomatyczne uznały, że byłaby to ostentacja – plakaty na murach, wezwania przez radio itd., ogłoszenie jej z ambon przez księży – a Hitler wykorzysta to jako pretekst (jak wielokrotnie wykorzystywał podobne preteksty), że Polacy się zbroją, więc Niemcy muszą rozpocząć działania wyprzedzające. Ten jeden dzień był decydujący. Część wielkich jednostek nie została zmobilizowana w ogóle lub w szkieletowej formie. Odwlekała się również mobilizacja tzw. drugiego rzutu – służb kwatermistrzowskich, tęczności, rozbudowanych środków zapasowych. To bardzo zaważyło na przebiegu wojny we wrześniu i październiku 1939 r.

PK. – Zgadzam się, że nacisk dyplomatyczny ze strony Anglii i Francji, aby odwołać mobilizację powszechną w Polsce, był posunięciem skandalicznym. Uważam jednak, że to zaniechanie w stosunkowo niewielkim stopniu osłabiło zdolność WP do walki. Według mnie była to bardziej kompromitacja polityczna mocarstw zachodnich, które u progu wojny demonstrowały swoją kompletną demobilizację duchową. Dla polskich władz musiał to być bardzo niepokojący objaw, niedwuznacznie ukazujący wartość bojową naszych sojuszników, a zarazem najdobitniej obnażający osamotnienie polskiego oręża w obliczu zbrojnej agresji totalitarnych potęg. Tyle tylko, że pod koniec sierpnia 1939 r. było już za późno na rozwiązania polityczne. Zakrawa na absurd, że to właśnie Wielka Brytania, która pół roku wcześniej walnie przyczyniła się do utwierdzenia polskiej woli oporu, w momencie gdy temperatura stosunków międzynarodowych dochodziła do wrzenia, podejmowała działania mogące osłabić zwartość swego sojusznika wystawionego na miążdzący cios wroga. Tak u progu wojny zachowywało się państwo, od którego postawy zależał los Polski. Przecież cały polski plan obrony opierał się na założeniu, że w odpowiednim momencie alianci na Zachodzie wystąpią z efektywną pomocą. Zaatakują Niemców potężnym uderzeniem i zmuszą ich do przerzucenia jednostek na front zachodni. Odwrotnie niż w czasie I wojny światowej.

W.W. – To mogłoby doprowadzić do załamania się systemu całego państwa niemieckiego. Zauważmy – po zdobyciu Paryża w 1940 r. Hitler stał się dla wszystkich Niemców, także dla elit wojskowych, mężem opatrnościowym, aż do 1945 r. Przełom 1939 i 1940 r. to był bardzo ważny moment. Marsz Hitlera mogły łatwo zatrzymać niepowodzenia na Zachodzie. Rozpoczęcie II wojny światowej i uderzenie na Polskę bez porozumienia ze Związkiem Sowieckim to polityczna fikcja. Niemieckie możliwości nie pozwalały na to, żeby przejść przez terytorium Polski do jej granic wschodnich, zostawić tam olbrzymie armie i dalej prowadzić wojnę, czyli kampanię skandynawską i działania na Zachodzie, gdzie powodzenie niemieckie wcale nie było oczywiste.

Pomoc sowiecka odciążyła Niemcy. Zmniejszyła ich straty w prowadzeniu kampanii polskiej. Niemcy w swoich dalszych działaniach i tak byłby uzależnione od Moskwy. Po porozumieniu obie strony były wzajemnie swoimi zakładnikami. Oba państwa dokonywały aneksji i rozboju na zasadzie wzajemnej gwarancji. Hitler mógłby działać na Zachodzie przeciw Francji, a Związek Sowiecki przeciw państwom nadbałtyckim i Finlandii.

Nie zgadzam się z tym, że to opóźnienie mobilizacji o dzień było decydujące. Może o tyle, że miało znaczący wpływ na nasze możliwości obronne, ale na ogólną sytuację wojenną i polityczną w Europie nie miało to żadnego wpływu. Podobnie jak nie miało znaczenia, w jakim ugrupowaniu przyjęlibyśmy uderzenie niemieckie. O to toczy się wśród historyków wojskowości i uczestników kampanii wrześniowej spór, również ze zróżnicowanych pozycji politycznych. To jest dyskusja o tym, jak należało prowadzić kampanie wrześniową, jakie popełniono błędy, w jakim ugrupowaniu należało przyjąć niemieckie uderzenie, czyli takie dyskusje strategiczne. Z punktu widzenia rozwoju sytuacji można powiedzieć, że do wojny tak czy tak przystępowaliśmy na straconej pozycji. Najpierw alianci zachodni zrealizowali swoją obietnicę polityczną i 3 września (później niż powinni) przystąpili do wojny z Niemcami, ale później nie byli skłonni realizować działań wojennych na dużą skalę. A Związek Sowiecki miał wolę z drugiej strony wesprzeć Niemców. Od tego momentu nasza sytuacja była całkiem beznadziejna. Hitler miał dwa asy w rękawie, przy czym o jednym wiedział – o tym sowieckim, ale nie był pewien drugiego – jak się zachowają państwa zachodnie. A one mu zrobiły wielki prezent.

B.P. – Dlaczego tak się zachowały?

G.B. – Jest takie powiedzenie, że Wielka Brytania nie ma ani wiecznych przyjaciół, ani wiecznych wrogów, ma tylko wieczne interesy. Jak możemy patrzeć na udzielenie ich gwarancji? Było to pchnięcie Polaków do konfrontacji z Niemcami. Spowodowało bardzo wyraźne usztywnienie stanowiska Warszawy wobec Hitlera, odrzucenie jakiegokolwiek kompromisu. Trochę dziwne wydaje się, że przyjęcie tych gwarancji nie zostało poprzedzone rzetelnym działaniem, choćby wywiadowczym, na temat możliwości Wielkiej Brytanii w dziedzinie udzielenia pomocy Polsce, na tyle realnej, żeby rzeczywiście spowodowało to odciążenie tego frontu.

Wielka Brytania w 1939 r. miała, tradycyjnie zresztą, silną flotę. Natomiast jej siły lądowe, które ewentualnie mogłyby przynieść Polsce jakieś odciążenie, i lotnictwo były relatywnie słabe, a w każdym razie nie na tyle silne, by wejść w konfrontację z Hitlerem. Mogły się nadawać do obrony Wysp Brytyjskich, ale nie do ofensywnych działań. Co prawda, brytyjska gospodarka stopniowo przestawiała się na wojenne tory, bo Brytyjczycy zdawali sobie sprawę, że nie da się długo prowadzić polityki ugłaskiwania Hitlera przez rzucanie mu kolejnych ofiar, tym sposobem odwołując moment przystąpienia do wojny. W tym kontekście należy widzieć rolę Polski. Przystawienie gospodarki na tory wojenne w demokracji parlamentarnej nie dzieje się na rozkaz, jak w Niemczech czy w Związku Sowieckim. Potrzebny na to czas dała im Polska i udzielenie jej gwarancji. Można się zżymać na perfidię brytyjskiej dyplomacji, ale ona postępowała tak zawsze i pewnie nadal tak będzie. To my okazaliśmy się zbyt łatwowierni, przyjmując wszystko za dobrą monetę.

W.W. – Natomiast potężne siły lądowe miała Francja i teoretycznie na jej pomoc można było liczyć, w tym był pewien element racjonalnego myślenia. Bo po cóż miałyby czekać na uderzenie sił niemieckich, ściągniętych na zachód po pobiciu Polski, skoro mogłyby rozpocząć działania już. To była błędna przesłanka. O zachowaniu Francji decydowała jej doktryna, której symbolem i ważnym elementem była Linia Maginota. Francuzi założyli w okresie międzywojennym, że w razie wojny z Niemcami będą bronić się na swojej granicy. Było to oparte na uzasadnionym założeniu, że każda wojna w Europie musi się ostatecznie skanalizować i rozstrzygnąć na froncie między Niemcami i Francją. Logika była taka – by doszło do ostatecznego zwycięstwa Niemiec, muszą one ostatecznie rozbić Francję. Jeśli nie udało się to w I wojnie, kiedy linii Maginota nie było, to tym bardziej nie

uda się tym razem, więc po co podejmować ryzykowne działania zaczepne, skoro i tak czas gra na naszą korzyść. Niemieckie zwycięstwo na Zachodzie jest niemożliwe. To założenie zweryfikowała dopiero wiosna 1940 r., przedtem funkcjonowały jedynie poprawne logicznie założenia. Elementem nieobliczalnym tej logiki była stworzona przez Niemców nowa metoda wojny, nowy sposób jej prowadzenia, który okazał się zaskoczeniem.

B.P. – Wojna błyskawiczna.

P.K. – Potężne, zmasowane uderzenia sił pancernych wsparte lotnictwem frontowym i szturmowym, niezależnie od dużych przeszkód terenowych...

G.B. – ...bez czekania na piechotę, która podążała za nimi daleko, daleko...

P.K. – ...bardzo śmiało kierowane w miejsca, gdzie nieprzyjaciół nie spodziewał się ataku. Poza tym sprawne, samodzielne i odpowiedzialne dowodzenie na wszystkich szczeblach hierarchii.

W.W. – To, czego nie byli w stanie osiągnąć między 1914 a 1918 r., osiągnęli praktycznie w ciągu dwóch miesięcy.

G.B. – To było przeciwstawienie butów piechura z 1914 r. czołgowi z 1940 r. Ale było to też przeciwstawienie francuskiego żołnierza z roku 1914 i francuskiego żołnierza z roku 1939. W roku 1914 Francuzi cieszyli się wojną, chcieli jej, cieszyli się, że odzyskają Alzację, Lotaryngię. Wykrwawiali się w masowych szturmach, ale entuzjazm był, trwał przynajmniej do roku 1917. W roku 1939 Francuzi zamknęli się za linią Maginota. Nazwano to wojsko „armią jednaków”. Wystawiło je społeczeństwo potwornie wykrwawione podczas I wojny światowej, w którym przyrost naturalny był ujemny. Państwo musiało o tych ludzi dbać. To po pierwsze. Po drugie, i państwo, i jego armia były przeżarte swoistym pacyfizmem, spowodowanym nie tylko wpływami politycznymi obozu lewicy i bardzo silnymi wpływami komunistów, ale też traumatycznymi doświadczeniami wyniesionymi z I wojny światowej. Polski przedwojenny dyplomata, Jan Meysztowicz, który po klęsce wrześniowej przedostał się do Francji, opisuje w swoich wspomnieniach, jak po szkoleniu w Bretanii został przewieziony do niewielkiego miasteczka w Normandii, może nawet większej wsi. Przed okazałym kościołem ustawione były tablice z nazwiskami poległych w Wielkiej Wojnie. Jak na tę niewielką miejscowość lista nazwisk wydawała mu się dość długa. Przy najbliższej okazji zapytał więc mera, jaki odsetek poborowych z tego miasteczka poległ na frontach. – Mogę odpowiedzieć od razu. Nikt z wcielonych nie powrócił – usłyszał.

W całej Francji takich miasteczek pewnie były setki. Ta niesamowita trauma spowodowała owo zasklepienie się w doktrynie ściśle obronnej. Niektórzy francuscy generałowie, choćby Charles de Gaulle, chcieli rozwijać tendencje ofensywne, ale to nie cieszyło się popularnością.

B.P. – Jaki był duch bojowy żołnierzy niemieckich? Przecież Niemcy w czasie I wojny też ponieśli ogromne straty, dla nich to też była trauma.

G.B. – Z pamiętników, relacji i doniesień zagranicznych korespondentów, którzy w 1939 i 1940 r. byli w Niemczech, wynika, że po 1 września w społeczeństwie niemieckim nie panował jakiś wielki entuzjazm, wybuch wojny przyjmowano z wyraźną rezerwą i ze strachem. Nastroje polepszyły się po pokonaniu Polski, ale cezurą jest klęska Francji, upadek Paryża. Opowiadała mi pewna pani – wówczas mieszkająca w Katowicach w dzielnicy Józefowiec, gdzie były polskie koszary 73. pułku piechoty, do których we wrześniu 1939 r. wprowadzili się żołnierze niemieccy – o tym, jak oni zareagowali w roku 1940 na kapitulację Francji. Okoliczni mieszkańcy nie wiedzieli, co się stało, gdy nagle rozległy się strzały, wiwaty, dzikie okrzyki. Żołnierze skakali z okien drugiego piętra. Z radością.

P.K. – W czasie I wojny światowej Niemcy stracili ponad 2 mln ludzi (tyle było zabitych i rannych). Pod tym względem Rzesza Niemiecka była na pierwszym miejscu listy państw uczestniczących w wojnie. Jednak w okresie dwudziestolecia międzywojennego świadomość zbiorowa narodu niemieckiego została zdominowana przez poczucie niesprawiedliwości postanowień narzuconego przez aliantów pokoju. Podpisując zawieszenie broni 11 listopada, Niemcy nie spodziewali się, że warunki pokojowe będą tak ciężkie...

G.B. – ...a przecież na terytorium Niemiec nie stał wówczas ani jeden nieprzyjacielski żołnierz.

P.K. – Szczególnie po dojściu Hitlera do władzy żądna pamięć o poległych stopniowo i celowo była wypierana przez poczucie nadrzędnej wartości złożenia ofiary z życia na ołtarzu ojczyzny. Poza tym nowemu kanclerzowi udawało się forsować własne pomysły za pomocą bezczelnego szantażu, a niekoniernie siły zbrojnej – tak było zarówno przy zniesieniu ograniczeń traktatowych, jeśli idzie o zbrojenia, *anschluss* Austrii, rozbiście Czechosłowacji czy zajęcie Okręgu Kłajpedy. Należy także pamiętać, że Niemcy w momencie wybuchu II wojny światowej to już nieco inne społeczeństwo, społeczeństwo poddane władzy totalnej. Naturalne jest, że obywatele Rzeszy niepokoiłi się z powodu rozpoczęcia wojny, bo efekt starcia zbrojnego jest zawsze niepewny. Kiedy jednak w miarę rozwoju wypadków okazywało się, że również kampanie militarne kończyły się zwycięsko, taki stan rzeczy musiał budzić pozytywne emocje. Jeśli nie wywoływać euforii, to przynajmniej przynosić błogie odprężenie.



Fot. AIPN

Bombardowanie twierdzy Modlin przez lotnictwo niemieckie

W.W. – Podobnie było w armii, powiedzmy do tego – paromilionowej. Oficerowie armii cesarskiej przez cztery lata próbowali pod wodzą feldmarsz. Paula Hindenburga i najtęższych umysłów zdobyć Paryż. I nic. A tu okazało się, że kapral, z którego wielu się wyśmiewało, dokonał tego w błyskawicznym tempie. Od tego momentu Niemcy stanęli za Hitlerem murem. I generalnie trwali przy nim do końca (z drobnym zachwianiem nastrojów

po lądowaniu aliantów w Normandii i klęsce na Wschodzie w 1944 r.). Można śmiało powiedzieć, że w latach czterdziestych byli znacznie bardziej zjednoczeni wokół niego, niż miało to miejsce w latach trzydziestych.

P.K. – Trudno zgodzić się z twierdzeniem, że naród niemiecki w czterdziestych latach niezłomnie trwał przy Hitlerze. W miarę ponoszonych klęsk nastroje zmieniały się na gorsze. Jednak demokracja skończyła się w Rzeszy Niemieckiej w 1933 r. Od tego czasu bandyci powoli zawłaszczali państwo niemieckie. Społeczeństwo niemieckie było sterroryzowane przez hitlerowców. Wszelkie przejawy oporu brutalnie i natychmiast dławily służby specjalne. U schyłku wojny, zwłaszcza po 20 lipca 1944 r., w obliczu nadciągającej Armii Czerwonej nie było nikogo, kto mógłby skutecznie przeciwstawić się zbrodniarzowi i jego

siepaczom. Można powiedzieć, że w ostatnim roku wojny Niemcy naprawdę poczuli, że stoją na skraju przepaści, ale sprawnie funkcjonujący aparat przemocy paraliżował wszelkie próby zatrzymania się przed upadkiem.

W.W. – W roku 1943 przyszedł klęski, ogłoszona została wojna totalna. Choć nad Rzeszą zaczęły zbierać się czarne chmury, militarnie i politycznie rozpoczęła się ich wielka defensywa, wiara w zwycięstwo Hitlera nie słabła, a nawet była większa, niż wtedy, gdy odnosił sukcesy dzięki swoim politycznym szantażom. A wszystko to za sprawą zwycięstwa nad Francją w 1940 r.

P.K. – Mówiliśmy o tym, że sojusznicy Polski byli nielojalni, a co za tym idzie – kalkulacje polskiego kierownictwa okazały się nietrafne. Lecz nie było sposobu, aby zawczasu przetestować rzetelność brytyjskich i francuskich zobowiązań sojuszniczych. Przecież nie dało się tego wysledzić, wyszpiegować. Moralne rozbrownienie Francuzów nie było tajne. O tym pisała prasa, mówiło się na ulicy. Polscy dyplomaci, a za ich pośrednictwem elity polityczno-wojskowe w kraju były o tym wszystkim świetnie poinformowane. Nikt jednak nie przypuszczał, że te defetystyczne postawy pozbawią francuskie i brytyjskie dowództwo instynktu samozachowawczego. Przy okazji nasuwa się nieodparte wrażenie, że przytłaczająca większość przeciwników Hitlera i Stalina wykazywała się zadziwiająco stereotypowym myśleniem – niestety, tylko podżegacze wojenni przejawiali twórczą inwencję.

W.W. – Postawy społeczeństw bardzo często są pacyfistyczne. Ale Francja jednak miała potężną armię i więcej broni pancerniej niż Niemcy. Gdyby dostała rozkaz, ruszyłaby do walki. Potęga francuska była uznawana przez wszystkich. Były w niej nastroje pacyfistyczne, ale była też głównym zwycięzcą I wojny światowej. U podstaw polskiej polityki w 1939 r. legła decyzja, żeby nie iść na kompromis z Niemcami. Kompromis to ustępstwa na rzecz Niemiec, a faktycznie również sojusz. Odrzuciliśmy współpracę z Niemcami, więc gdy pojawiły się gwarancje brytyjskie, były one darem niebios. Temu koniowi nikt już nie zaglądał w zęby. Były to jednak gwarancje europejskich mocarstw, chociaż jedno nie ma armii lądowej na terenie Europy, a drugie jest rozbrownione moralnie. Decyzja o ich przyjęciu była konsekwencją woli sprzeciwienia się Niemcom.

P.K. – Zastanawia tylko, dlaczego ta wola była taka niezłomna, skoro zdrowy rozsądek nakazywał najdalej idącą ostrożność. Nieodparcie nasuwa się wrażenie, że na przyjęcie rozwiązania konfrontacyjnego decydujący wpływ miała niedwuznaczna zachęta ze strony Wielkiej Brytanii do twardego przeciwstawienia się Niemcom. Inaczej byłoby, gdyby w obliczu niemieckiej presji wszyscy potencjalni sojusznicy odwrócili głowy. Gdyby nie gwarancje, prawdopodobnie polskie kierownictwo próbowałoby poszukać innego rozwiązania, nawet jeśli nie odpowiadałoby ono nadmiernie podgrzanym nastrojom ulicy. Polskie społeczeństwo przyjęło gwarancje z wdzięcznością, ale w gruncie rzeczy zwykli ludzie otumanieni propagandą sukcesu byli przekonani, że i tak Polska poradzi sobie z Niemcami. Przecież Rzesza była rzekomo rozbrowniona przez traktat wersalski. Wielu uważało, że nawet jeśli Wehrmacht dysponuje przewagą techniczną, to i tak ona nie da mu zwycięstwa, że wkrótce polscy żołnierze wyrąbią sobie drogę do Berlina.

W.W. – W Polsce nikt tak nie lekceważył siły niemieckiej. To jest ahistoryczne myślenie.

B.P. – **Ulica tak myślała.**

W.W. – Ale to nie ulica podejmuje decyzje.

P.K. – Obserwatorzy wielkich manewrów Wehrmachtu przeprowadzanych w drugiej połowie lat trzydziestych, nawet attaché wojskowi, donosili, że podczas ćwiczeń używano atrap. Informowano, że niemieccy sztabowcy ćwiczą nowe, ciekawe rozwiązania, ale nie

dowierzano, aby siły zbrojne Rzeszy faktycznie dysponowały środkami do ich realizacji. To mogło się przyczynić do błędnych kalkulacji, zwłaszcza że Wojsko Polskie miało otrzymać wsparcie potężnych sojuszników z Zachodu.

W.W. – W Polsce świadomość siły i potęgi niemieckiej była pełna u wszystkich, którzy mieli wpływ na decyzje polityczne, nie ma co do tego wątpliwości. Można przypuścić, że gdyby była wiedza o tym, ile rzeczywiście warte są gwarancje brytyjskie i francuskie, to, być może, niemieckie propozycje zostałyby przyjęte przez nasze elity polityczne.

Trzeba też pamiętać, że władze sanacyjne były zdeintegrowane. W kierowaniu państwem nikt nie przejął funkcji Piłsudskiego. Politykę zagraniczną prowadził Beck, za wojsko odpowiadał Edward Rydz-Śmigły. I był jeszcze prezydent. Ta dezintegracja nie polegała na walce wewnętrznej, lecz na prowadzeniu osobnych wątków w aktywności wojskowej i dyplomatycznej. Śmigły był przekonany, że skoro Beck zyskał gwarancje Brytyjczyków i Francuzów, to znaczy, że oni rzeczywiście tej pomocy nam udzielą już w pierwszych dniach czy tygodniach wojny, a tyle jesteśmy w stanie przetrwać. W takiej sytuacji jego postępowanie było racjonalne. Beck, nie będąc aż tak naiwnym, jak można sądzić, zdawał sobie sprawę, że polityka brytyjska i francuska jest trochę blefem i że nie ma co liczyć na ich szybką reakcję, jak to obiecują, ale przecież nasza armia wytrzyma ten tydzień czy dwa tygodnie więcej, a pomoc w końcu przyjdzie i wygramy. (Myśmy planowali działania na tygodnie, a wydarzenia rozstrzygały się w kilku dniach czy wręcz dziesiątkach godzin). Przy braku integracji w działaniach politycznych między segmentem wojskowym a dyplomatycznym podjęto taką, a nie inną decyzję. Nikt nie miał pełnych informacji, co jednak nie wynikało ze złej woli czy ignorancji. Był to fatalny zbieg okoliczności.

B.P. – **Należy odrzucić sugerowane niekiedy podejrzenie, że ta dezintegracja polskich elit była wynikiem wewnętrznego ich skonfliktowania?**

W.W. – Do konfliktu w elicie sanacyjnej doszło po roku 1935, gdy odsunięto Walerego Śławka. To był realny konflikt. W roku 1939 nie ma walki o władzę, o odsunięcie Śmigłego, Becka czy Ignacego Mościckiego. Żaden z nich nie musiał już zaspakajać swoich ambicji, one były zaspokojone. Być może, było między nimi zbyt mało rywalizacji. Beck prowadził politykę zagraniczną, to były jego aspiracje. Śmigły był marszałkiem, następcą Piłsudskiego, na tej pozycji nikt mu nie zagrażał. Mościcki był głową państwa, ale nie pełnił roli integratora, który by realnie kierował wszystkim, podejmował samodzielnie decyzje i scalał politykę dyplomatyczną i militarną. To wszystko wynikało raczej z pewnej techniki władzy i wytworzonego w swoistych okolicznościach politycznych podziału kompetencji w tej części elity sanacyjnej, która była u władzy od 1935 r.

P.K. – Wydaje się, że w ludzkiej naturze leży zupełnie odmienny sposób myślenia i postępowania, którego mottem mogłoby być stwierdzenie: „Nigdy dość władzy”. Wśród elit politycznych trwa stała rywalizacja, nawet jeśli ktoś się wybił naprawdę wysoko. Umów dotrzymuje się do momentu, kiedy jest to konieczne. Gdy okazuje się, że układ sił uległ zmianie, wówczas dochodzi do naturalnej zmiany konfiguracji na szczytach władzy.

G.B. – To są trafne wnioski. Ale przepływ informacji między segmentem polityki zagranicznej a armią i prezydentem był słaby. Beck był człowiekiem próżnym, a w każdym razie przekonany o swoich wysokich kompetencjach. Do wiosny 1939 r., przynajmniej przed Mościckim, a na pewno też przed Rydzem-Śmigłym, jakoś maskował, taił wręcz narastający już przecież konflikt polsko-niemiecki. Nie dało się tego już ukryć w momencie zerwania przez Hitlera paktu o nieagresji. Trzej politycy podzielili się, na zasadzie niepisanego konsensusu, poszczególnymi segmentami państwowymi...

P.K. – ...i nie straszili partnerów, żeby nie uczynili jakichś kroków pod wpływem paniki.

G.B. – Na pewno nie zdawano sobie sprawy z tego, że do agresji dojdzie w tak nieodległym terminie i że będzie miała taki przebieg. Polityka i dyplomacja stanowi ciąg działań doraźnych, składających się na przedsięwzięcia bardziej dalekosiężne.

P.K. – Odnoszę wrażenie, że decydujące znaczenie w podejmowaniu tych decyzji miała specyficzna mentalność wojskowych, oficerów. Ich sposób myślenia wynikał z przeświadczenia, że trzeba prężyć muskuły, bo to sprzyja podtrzymaniu spójności wewnętrznej i woli oporu. Stąd zapewne przekonanie, że jeśli Polacy będą silni, zwarci i gotowi, to los im będzie sprzyjał i rozwiążą wszystkie problemy po swojej myśli.

W.W. – Diabeł tkwi w szczegółach. Ale także w osobowości. Mościcki był specyficznym człowiekiem, skłonny do samoograniczenia się, co w gruncie rzeczy jest rzadkie wśród ludzi, którzy osiągnęli ten szczybel, chociaż zależało mu na pozostaniu na swoim stanowisku.

G.B. – Wskazuje na to *casus Sławka*.

W.W. – Gdyby Sławek przejął funkcje prezydenta, to polityka siłą rzeczy wyglądałaby inaczej. Nie wchodząc w spekulacje, można powiedzieć, że w latach 1935–1939 osoby odsunięte, wywodzące się z kręgu elity sanacyjnej: sławkowcy, BBWR, przedstawiciele poszczególnych stronnictw (mamy tam także Stanisława Cata-Mackiewicza, ale były też próby kaptowania ludzi z poszczególnych stronnictw) – reprezentowali taki kierunek, że gdyby oni mieli podejmować decyzje, byłiby skłonni pójść na kompromis z Niemcami. Nie mieli zaufania do państw zachodnich, ale uważali, że wszystko należy rozgrywać na osi Moskwa–Warszawa–Berlin, według zasady, że z Moskwy do Berlina nie może być bliżej niż z Warszawy do jednej z tych stolic. Założeniem Piłsudskiego o zrównoważonej polityce bynajmniej nie było, że my się mamy z daleka trzymać od Berlina i od Moskwy i czekać, aż one nad naszymi głowami się dogadają.

B.P. – Powiedzmy o niemieckim planie operacyjnym.

G.B. – To był jeszcze jeden wariant starego manewru: słabe centrum, silne skrzydła. We wrześniu 1939 r. na zachodzie Polski Niemcy uderzyli z dwóch skrzydeł – z Pomorza i ze Śląska. Środkowa część frontu, Wielkopolska, pozostała praktycznie nietknięta. Poznań został zajęty 8 września, właściwie bez oporu.

P.K. – A Niemcy stali już na Ochocie w Warszawie.

B.P. – Jakie są działania polskich wojsk?

G.B. – Cała wojna została właściwie rozstrzygnięta tymi zdecydowanymi uderzeniami na północy i na południu. Armia „Poznań” gen. Tadeusza Kutrzeby odeszła, praktycznie bez wnikania się w walki. Uderzenie południowe było decydujące, bo została odsłonięta cała flanka polskiej armii i jej plan działań runął. A on był dobrze pomyślany: Górny Śląsk, jedyny – poza wschodnim obszarem Rzeczypospolitej – z fortyfikacjami stałymi, a nie polowymi. Także Hel i Wizna. Jednak umocnienia na Śląsku



Niemcy przed gmachem Poczty Polskiej w Gdańsku tuż po ustaniu walk

Fot. AIPN

miały zupełnie inny charakter i miały pełnić rolę tego, co we francuszczyźnie obowiązującej wówczas w sferach sztabowych nazywa się *pigot*, czyli taki zawias, wokół którego miała wachlarzowo układać się polska obrona, odchodząc stopniowo znad granicy w kierunku południowo-wschodnim. Górny Śląsk miał bronić się na tyle długo, żeby umożliwić siłom ze środkowej Polski odejście w kierunku południowym, czyli na tzw. przedmoście rumuńskie. Te plany wzięły w tęb w marcu 1939 r. po rozbiściu Czechosłowacji, powstaniu Słowacji oraz protektoratu Czech i Moraw. Niemcy byli na Słowacji. Konieczne stało się sztutowanie dodatkowego frontu południowego. Przybyła tam Armia „Karpaty” gen. Kazimierza Fabrycego, który jednak nie sprawdził się w kampanii. Co to za armia, która początkowo liczy 26 batalionów piechoty i 16 armat? Później doszły do niej jeszcze dwie dywizje piechoty – jedna kadrowa, druga rezerwowa, mobilizowana w trakcie działań. To były zaledwie siły przestonowe. Stało się jasne, że obrona na południu będzie improwizacją.

Cały wysiłek militarny włożony w umacnianie Górnego Śląska poszedł na marne. Wobec oskrzydlenia ze strony Słowacji, kiedy 1 września XVIII korpus armijny zaatakował w kierunku na Chabówkę i Jordanów, okazało się, że siły na Górnym Śląsku będą po prostu odcięte. Grupa Operacyjna „Śląsk”, a później cała Armia „Kraków” musiały wycofać się na wschód. Między Górnym Śląskiem a Krakowem nie istnieje jakakolwiek rubież, na której można by zbudować pozycję obronną. Armia „Kraków” musiała wycofywać się dalej i wtedy całe polskie południowe skrzydło zostało odstanięte. Rolę tego zwornika musiała przejść Armia „Łódź” gen. Juliusza Rómmla – fatalnie rozłożona, zbyt blisko granicy, na dodatek nie do końca zmobilizowana i wyposażona. Armia „Łódź” nie spełniła roli zwornika, bardzo szybko została rozbita. W centrum polskiego frontu pojawiła się ogromna luka, przez którą wlewały się niemieckie jednostki. Tak wyglądała bitwa graniczna między 1 a 3 września. To była klęska również na poziomie operacyjnym. Z winy gen. Stefana Dęba-Biernackiego klęskę poniosła Armia „Prusy”. Na drodze do Warszawy nie było żadnej większej przestony. Niemieckie czołówki pancerne doszły do Warszawy 8 września. Nieco w ponad tydzień po rozpoczęciu działań wojennych zagrożone jest centrum kulturowe, polityczne, komunikacyjne, a zwłaszcza łącznościowe Polski. Stolica państwa.

P.K. – Obrona Warszawy tak na dobrą sprawę miała charakter improwizacji. Szybkość działań niemieckich była wielkim zaskoczeniem dla polskiego dowództwa. Dla odciążenia stolicy Armia „Poznań” gen. Kutrzeby i Armia „Pomorze” gen. Władysława Bortnowskiego rozpoczęły bitwę nad Bzurą, największą batalię wojny obronnej 1939 r. Było to działanie racjonalne, ale szybko okazało się, że Polacy nie są w stanie trwale odebrać Niemcom inicjatywy. Armie „Poznań” i „Pomorze” wykrwawiły się w starciu ze stale wzrastającym w siłę przeciwnikiem. Ostatecznie tylko niedobitki polskich formacji przedostały się do oblężonej Warszawy.

B.P. – A gdyby nie 17 września, co działoby się dalej?

G.B. – Po przekroczeniu linii Wisły tempo niemieckiego natarcia wyraźnie osłabło. Powodem były znacznie gorsze drogi i zmiana pogody, dotąd bardzo Niemcom sprzyjającej. Poza tym znacząco wydłużyła się linia zaopatrzenia. W takiej sytuacji polski opór jakoś okrzepł. Czy stałby się skuteczny, gdyby nie wkroczenie Sowieców? Któryś z oficerów sztabowych zapisał, że już 16 września niektórzy koledzy otwierali szampana, twierdząc, że zasadniczy kryzys w kampanii został przewyżczony i od tej pory będzie już tylko lepiej.

W.W. – Ale to, o czym mówimy, to nadal jest *political fiction*, bo i 1 września nie byłoby, gdyby nie było paktu Ribbentrop-Mołotow, a 17 września był już tylko wykonaniem jego

zapisów. Nie chodzi oczywiście o konkretną datę dzienną. Stalin ze względu na swoją ostrożność nieco zwlekał, ale gdyby Hitler nie wiedział, że on uderzy, to nie byłoby uderzenia Niemiec 1 września.

P.K. – To jedna strona medalu, a teraz przyjrzyjmy się drugiej. Stalin najprawdopodobniej w ogóle zrezygnowałby z wejścia do akcji, gdyby Polacy rzeczywiście okrzepi i stawili twardy opór. Polscy oficerowie, którzy nie dysponowali pełną wiedzą na temat sytuacji na froncie, bo łączność była bardzo marna, mogli myśleć, że szczęście wojenne zaczyna opuszczać Wehrmacht. Ale Niemcy, z większym lub mniejszym mozolem, lecz konsekwentnie realizowali swoje plany operacyjne. Pierwszy etap działań, zakładający kleszczowe uderzenie po wewnętrznej stronie łuku Wisły i odcięcie znajdujących się tam polskich sił, został zrealizowany. Drugie podobne uderzenie po wewnętrznej stronie łuku Bugu również udało się zrealizować. Stalin, obserwując rozwój wypadków, mógł dojść do wniosku, że jeśli nie wkroczy w tym momencie, to potem, być może, uda mu się wejść dwadzieścia, pięćdziesiąt kilometrów w głąb terytorium RP, które jednak w pozostałej części będzie już obsadzone przez Niemców, a sojusznicy z przymusu nie ufali sobie. Przecież Wehrmacht przed 17 września doszedł znacznie dalej na wschód, aniżeli zaplanowano to w pakcie Ribbentrop-Mołotow.

W.W. – Do ustaleń tajnego protokołu została wprowadzona korekta. Większa część Polski, 51 proc. jej areatu, przypadła ZSRS, 49 proc. Niemcom, choć początkowo strefa sowiecka miała sięgać jeszcze głębiej. Niemcy zajęli dużo więcej niż wynikało to z podziału, dlatego dokonano korekty. A co to znaczy, że okrzepła polska obrona? To również *political fiction*. Gdybyśmy wygrali bitwę graniczną, to, być może, w Moskwie zapanowałaby konsternacja. Inaczej także zachowałby się Zachód. Choć jest oczywiste, że nie mogliśmy na całym froncie powstrzymać Niemców. Oni są pod Warszawą 8 września. To jest sygnał, że polska obrona się załamała, ale broni się stolica, broni się Hel, walki trwają. Stalin podejmuje decyzję o uderzeniu. W Moskwie nie analizowano szczegółowo rozwoju wypadków na froncie polskim. Armia polska poniosła klęskę, to oczywiste. Jak i to, że uderzenie armii sowieckiej całkowicie zlikwiduje opór Polski. Ta pewność wynikała z różnicy potencjałów wojskowych. Takie drobne szczegóły, że na jakimś odcinku frontu jest jeszcze jakieś polskie powodzenie, że udało się stężyć opór, nie miało kluczowego znaczenia. To oczywiście nie zmienia znaczenia naszego heroicznego oporu. Jednak realny układ sił był bezwzględny.

P.K. – Nie posuwałbym się tak daleko, by twierdzić, że gdyby Sowieci nie wkroczyli, to polska armia zostałaby całkiem unicestwiona przed zimą 1939/1940. Jakies niedobitki mogłyby utrzymać się na „przedmościu rumuńskim”. W miarę upływu czasu Niemcy rzeczywiście grzęzli. Chociaż realizowali swoje plany operacyjne, to jednak wyczerpywali zasoby. Nie jest wykluczone, że samodzielnie nie byłiby w stanie ostatecznie zdławić polskiego oporu. Wydaje się jednak, że w odniesieniu do agresji sowieckiej ważną rolę odegrała polska klęska w bitwie nad Bzurą. Sowieci musieli pilnie przyglądać się polskiemu kontruderzeniu na głównym niemieckim kierunku strategicznym. Gdyby Wehrmacht utracił inicjatywę, jego armie musiałyby się cofnąć i przegrupować, wówczas interwencja radziecka mogła okazać się przedwczesna. Kiedy Niemcy odnieśli zwycięstwo w bitwie nad Bzurą, mniej więcej w połowie września okazało się, że Polacy nie będą w stanie skutecznie im się przeciwstawić. Dla Moskwy nastął najwyższy czas, aby wkroczyć do akcji, gdyż od początku konfliktu Stalin raczej nie zamierzał udzielać Niemcom pomocy zbrojnej, a jedynie połknąć swoją część pokonanej ofiary.

G.B. – Zatrzymanie dynamiki polskiego uderzenia nad Bzurą nastąpiło 10 września; potem, do 22 września odbywał się bardziej czy mniej planowany polski odwrót w kierunku Warszawy.

W.W. – Z punktu widzenia Kremla to były niuanse taktyczne. Nie one decydowały, lecz to, że był zawarty układ, a Niemcy ponaglali, by go wykonać. Stalin zrobił to stosunkowo późno, bo był ostrożny. Chciał, żeby sprawy były jak najbardziej wyjaśnione, co nie oznacza, że oczekiwał na efekty manewru pod Kutnem. Znacznie pilniej obserwowano, czy nie ma jakiejś gwałtownej reakcji mocarstw zachodnich. Gdyby rozpoczęła się francuska ofensywa w Nadrenii, to póki nie naruszono polskiej granicy, być może była jeszcze możliwa korekta planów.

B.P. – **Kłęska wrześnieowa była jednak dla Polaków strasznym szokiem. Była to klęska i osamotnienie, bo terytorium Polski opuściły władze cywilne i wojskowe.**

W.W. – Z perspektywy historycznej widzimy, że decyzje dowódców armii nie miały istotnego wpływu na bieg historii. Przegraliśmy na poziomie politycznym, ale to stało się widoczne dopiero z pewnej perspektywy dziejowej. Dla współczesnych był to niewątpliwie szok, że armia, która była naszą dumą, tak szybko została rozbita.

G.B. – A na utrzymanie wojska szła w II RP połowa dochodu narodowego.

P.K. – Szerokie prerogatywy prezydenta, udzielone mu mocą postanowień konstytucji kwietniowej, sprawiały, że nawet w ekstremalnych warunkach możliwe było utrzymanie ciągłości legalnej władzy państwowej. W obliczu agresji sowieckiej ewakuacja władz cywilnych była jak najbardziej pragmatycznym i właściwie jedynym możliwym rozwiązaniem. Cóż innego mogłoby się wydarzyć, gdyby prezydent zdecydował się pozostać w kraju. Polska poniosłaby totalną klęskę, bo trzeba by podpisać bezwarunkową kapitulację i najwyższe władze państwowe dostałyby się w ręce agresorów. Ewakuacja prezydenta umożliwiła powołanie Rządu Polskiego na Zachodzie przez legalne władze RP, a nie jakieś „zastępcze”, stworzone pod presją okoliczności i w efekcie niemające wiele wspólnego z porządkiem konstytucyjnym państwa. Ewakuacja władz cywilnych miała utrzymać ciągłość legalnego rządu kraju, który chwilowo znalazł się pod okupacją. Opuszczenie Polski przez Naczelnego Wodza nasuwa już znacznie większe wątpliwości, choć są zwolennicy poglądu, że miało ono przysłużyć się dalszemu prowadzeniu zbrojnego oporu...

G.B. – ...przez analogię z księciem Poniatowskim.

P.K. – Może to brzmi patetycznie, ale wydaje się, że w obliczu takiej klęski wojskowej rolę naczelnego dowódcy było straceńcze rozwiązanie honorowe, czyli osobisty udział w obronie ostatniej rubieży na terytorium państwa. Takie postępowanie byłoby nie tyle aktem samobójczym, co symbolicznym. Zresztą istniały podobne plany. Rydz-Śmigły nie zdecydował się na to. Uznał, że bardziej przysłuży się Polsce, jeśli wyjedzie z kraju. Większa część polskiego społeczeństwa uznała to jednak za akt tchórzostwa. Najwyższy rangą wojskowy w obliczu klęski nie był w stanie rzucić się do walki, tylko porzucił swoją pobitą armię, uciekł przed przemocą agresorów!

B.P. – **W takiej sytuacji narodziła się wola oporu przeciw okupantom.**

P.K. – Polacy byli bardzo silnie związani ze swoim niepodległym państwem, które odzyskali zaledwie dwadzieścia lat wcześniej. Nie chcieli układać sobie życia pod okupacją. Zbyt dobrze pamiętali lata zaborów. Na dodatek nowa okupacja była czymś zupełnie niesłychanym. Agresorzy natychmiast przystąpili do szeroko zakrojonych akcji eksterminacyjnych. To sprawiło, że wola oporu stale potężniała. Stosunkowo łatwo otrząśnięto się z nastrojów klęski, choć nie wybaczone jej elitom, które były u władzy w 1939 r. To była ciężka porażka obozu sanacyjnego.

B.P. – **Mocno też zaważyła na wyborach polityczno-ideowych w łonie Polskiego Państwa Podziemnego.**

P.K. – Przy powoływaniu rządu na emigracji nie przypadkiem Francuzi wywierali nacisk, by tworzyli go ludzie z przedwrześniowej opozycji. Z jednej strony chodziło o to, że Francuzi właściwie nigdy nie mogli dogadać się z piłsudczykami. Z drugiej jednak strony pewną rolę odegrało także przekonanie, że właśnie taki rząd będzie lepiej akceptowany w kraju.

G.B. – Jeśli przyjrzymy się osobie Sikorskiego i jego afiliacjom we francuskich sferach rządowych, to widać, że był kimś w rodzaju swojaka, w każdym razie był nim znacznie bardziej niż politycy sanacyjni.

B.P. – **Co to znaczy, że był dla nich swojakiem?**

G.B. – W Polsce przed 1939 r. obóz sanacyjny miał ambicje do bycia ruchem narodowym, wszechogarniającym, stapiającym w sobie i łączącym rozmaite wątki ideowe, ale także tych, którzy z rozmaitych przyczyn z sanacją się nie zgadzali. Do tych ostatnich należała narodowa demokracja i grupy centrowo-chadeckie, czyli Front Morges, w który zaangażowany był Władysław Sikorski. Ta grupa bazowała na ludziach, którzy z rozmaitych powodów – źle czując się w Polsce – wyjechali, najczęściej do Francji. To nie była emigracja polityczna.

Dość tajemnicza jest kwestia osobistych afiliacji Sikorskiego we francuskich elitach. Przyjmuje się, że w pewnym momencie Sikorski pełnił, jeśli nie rolę agenta wpływu, to, być może, nawet jakiegoś szpiega. Ostatnio pojawiają się takie enuncjacje na jego temat, że przekazał Francuzom polskie plany operacyjne. Nie wiem, na ile znajdzie to odbicie w źródłach i skąd miałby do nich dostęp (choć jako wyższy oficer sztabowy miał swoje drogi). Nie był zresztą lubiany przez ówczesne dowództwo. Miał w 1939 r. przekazać polski plan operacyjny również Czechom, a także – w co jestem skłonny uwierzyć – przez francuskie sfery rządowe wymóc jakieś zmiany w polskiej elicie władzy, chociażby odsunięcie Rydz-Śmigłego. Z czym to wiązać? Dość często podnoszony jest wątek jego osobowości. To był człowiek rozgoryczony.

B.P. – **I na dodatek pełen kompleksów.**

G.B. – Zdawał sobie sprawę ze swoich dużych zdolności, a przecież był odsunięty na boczny tor. To znajduje potwierdzenie w jego działalności, którą przedsięwziął jako premier i Naczelnny Wódz na Zachodzie. Alergicznie reagował na piłsudczyków, na sanatorów, był człowiekiem bardzo zgorzkniałym. Czynniki osobowościowe wywierały na jego działalność bardzo duży wpływ. Bez wątpienia usiłował przeprowadzić swoje koncepcje polityczne w Polsce przed 1939 r. w oparciu o Francję. Z tego powodu był dla Francji człowiekiem bardziej strawnym jako człowiek znany, wypróbowany i obliczalny. Poza tym występował już z pozycji klienckiej.

P.K. – Kolejne losy II wojny światowej sprawiły, że pozycja każdego polskiego rządu na emigracji byłaby słaba. Nawet gdyby taki rząd prowadził nieco inną politykę aniżeli rząd Sikorskiego. Latem 1940 r., kiedy po klęsce Francji Polska paradoksalnie stała się najpotężniejszym sojusznikiem Wielkiej Brytanii, wówczas nie dało się wykorzystać tej pozycji, bo inicjatywa strategiczna leżała po stronie Niemców, a Sowieci pozostawali im wierni. Powojenne losy Polski były krzyżącą niesprawiedliwością, ale żaden polski rząd nie był w stanie tego zmienić, bo zmagania zbrojne przegrał tylko jeden agresor z września 1939 r.

G.B. – Społeczeństwo polskie po klęsce wrześniowej było rzeczywiście załamane. Myśl o oporze pojawia się dopiero w kontekście niemieckich represji – za armiami posuwały się grupy operacyjne, których żołnierze dopuszczali się ekscesów...

P.K. – ...przeciw którym głośno protestowali nawet generałowie Wehrmachtu.

G.B. – To się skończyło, gdy została utworzona administracja okupacyjna. Towarzyszyło temu takie przekonanie, że, być może, teraz będzie lepiej, bo przychodzą Niemcy, którzy są dobrze zorganizowani.

B.P. – **Ale chyba nie w Wielkopolsce czy na Pomorzu!**

G.B. – Pomorze to był szczególny przypadek, bo tam rzeczywiście szalała niemiecka samoobrona.

P.K. – To były dziesiątki tysięcy ofiar. W Wielkopolsce też był silny opór uwarunkowany historycznie.

G.B. – U sporej części Polaków żywy był obraz Niemca z okresu I wojny światowej, takiego dobrodusznego podtatusiałego pruskiego landwerzysty. Te złudzenia oczywiście bardzo szybko minęły, bo Niemcy okazali się diametralnie innymi ludźmi. Nastroje antyniemieckie zostały rozbudzone przez prowadzone przez nich pacyfikacje, kontyngenty, ewidentny bandytyzm. Stany liczebne polskich organizacji podziemnych w 1939 r. wcale nie były wysokie, co jest charakterystyczne dla organizacji kadrowych. Pewien odptyw można obserwować po klęsce Francji.

P.K. – Sporej części oficerów zawodowych udało się uniknąć niewoli i to była grupa, która natychmiast przystąpiła do organizowania oporu. Rwała się do niego także młodzież ukształtowana w polskich szkołach, gdzie wychowanie patriotyczne stało na bardzo wysokim poziomie. Poza tym inteligencja, zwłaszcza nauczyciele i urzędnicy, których Niemcy właściwie nie potrzebowali. Ci wszyscy ludzie szczególnie pragnęli odzyskania niepodległości. Dla nich jedynym dobrym rozwiązaniem była odbudowa państwa polskiego.

G.B. – Warszawa kapituluje 28 września. Z polecenia Rydza-Śmigłego przybył do niej mjr Edmund Galinat, który miał zająć się zorganizowaniem ruchu podziemnego. Z tym rozkazem udał się do samozwańczego, jak się ostatnio mówi, dowódcy obrony Warszawy, czyli do gen. Rómmla, który go „spławił”. Ta próba spaliła więc na panewce. Powołana została Służba Zwycięstwu Polski, która, jako organizacja utworzona przez oficerów sanacyjnych, była solą w oku Sikorskiemu. Na czele SZP stanął gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski, piśsudczyk z krwi i kości. Reorganizując SZP, Sikorski przede wszystkim zdjął go i wysłał na obszar okupacji sowieckiej, mianując dowódcą tamtejszej konspiracji, która miała dopiero powstać, z centrum we Lwowie. Pomysł był dość przewrotny, bo przed wojną generał był przez długie lata we Lwowie dowódcą okręgu korpusu, czyli był tam powszechnie znany. (Co prawda został aresztowany już przy przekraczaniu granicy, chyba nierozpoznany i skierowany do łagru).

P.K. – Generał Sikorski zdecydował się na przeniesienie dowództwa polskiego podziemia na emigrację, gdyż chciał nad nim sprawować ścisłą kontrolę. Dlatego dowódcą Związku Walki Zbrojnej został mianowany gen. Kazimierz Sosnkowski, który już wtedy przebywał we Francji. Szybko jednak okazało się, że umieszczenie dowództwa ZWZ na Zachodzie nie było efektywnym rozwiązaniem chociażby z powodu bardzo trudnej komunikacji.

G.B. – Pozostało zdumienie i gorycz, że tak się to właśnie skończyło, że „leśni dziadkowie”, jak odtąd złośliwie nazywano wyższych sanacyjnych oficerów, pozwolili się pobić, i to z kretelem, w niespełna miesiąc. Na tych właśnie uczuciach będą później bazować komuniści. Bo wrzesień 1939 r. był dopiero początkiem całej tragedii. Zwłaszcza dla nas.